 Czas czytania: 16 min.

Udało nam się przeprowadzić ekskluzywny wywiad z Przełożonym Generalnym Salezjanów, ks. Fabio Attardem, w którym omówiliśmy najważniejsze etapy jego powołania oraz drogi ludzkiej i duchowej. Jego powołanie narodziło się w oratorium i umocniło się dzięki bogatej formacji, która zaprowadziła go z Irlandii do Tunezji, z Malty do Rzymu. W latach 2008-2020 był Radcą Generalnym ds. Duszpasterstwa Młodzieżowego, pełniąc tę funkcję z wielokulturową wizją, którą zdobył dzięki doświadczeniom w różnych kontekstach. Jego głównym przesłaniem jest ***świętość*** *jako fundament działalności wychowawczej salezjanów: „Chciałbym widzieć Zgromadzenie bardziej święte" – mówi, podkreślając, że profesjonalizm musi być zakorzeniony w tożsamości konsekrowanej.*

Jaka jest historia Księdza powołania?

Urodziłem się na Gozo na Malcie 23 marca 1959 r. jako piąte z siedmiorga dzieci. W czasie moich narodzin mój ojciec pracował jako farmaceuta w szpitalu, a matka otworzyła mały sklep z tkaninami i krawiectwem, który z czasem rozrósł się do małej sieci pięciu sklepów. Była bardzo pracowitą kobietą, ale działalność pozostała rodzinna.

Uczęszczałem do lokalnych szkół podstawowych i średnich. Bardzo pięknym i szczególnym elementem mojego dzieciństwa było to, że mój ojciec był świeckim katechistą w oratorium, które do 1965 roku było prowadzone przez salezjanów. Jako młody człowiek uczęszczał do tego oratorium, a następnie pozostał tam jako jedyny świecki katechista. Kiedy zacząłem tam uczęszczać w wieku sześciu lat, salezjanie właśnie opuścili tę placówkę. Zastąpił ich młody ksiądz (który nadal żyje), który kontynuował działalność oratorium w tym samym duchu salezjańskim, ponieważ sam przeżył tam okres seminarium.

Kontynuowano katechezę, codzienne błogosławieństwo eucharystyczne, piłkę nożną, teatr, chór, wycieczki, festyny… wszystko to, co zwykle dzieje się w oratorium. Było tam wiele dzieci i młodzieży, a ja dorastałem w tym środowisku. Praktycznie całe moje życie toczyło się między rodziną a oratorium. Byłem również ministrantem w mojej parafii. Po ukończeniu szkoły średniej skierowałem się ku kapłaństwu, ponieważ od dziecka nosiłem to pragnienie w sercu.

Dzisiaj zdaję sobie sprawę, jak bardzo wpłynął na mnie ten młody ksiądz, którego podziwiałem: zawsze był z nami na podwórku, podczas zajęć w oratorium. Jednak w tamtym czasie salezjanów już tam nie było. Wstąpiłem więc do seminarium, gdzie w tamtych czasach odbywało się dwa lata przygotowań jako internista. Na trzecim roku – który odpowiadał pierwszemu rokowi studiów filozoficznych – poznałem przyjaciela rodziny, około 35-letniego mężczyznę, który jako dorosły poszedł do życia zakonnego i wstąpił do salezjanów jako aspirant (dziś nadal żyje i jest koadiutorem). Kiedy podjął tę decyzję, w moim sercu zapłonął ogień. Z pomocą kierownika duchowego zacząłem rozeznawać powołanie.

Była to ważna, ale także wymagająca droga: miałem 19 lat, lecz ten przewodnik duchowy pomógł mi szukać woli Bożej, a nie tylko mojej. Ostatni rok – czwarty rok studiów filozoficznych – zamiast podążać za nim do seminarium, spędziłem jako aspirant salezjański, kończąc wymagane dwa lata studiów filozoficznych.

W mojej rodzinie panowała silna wiara. Codziennie uczestniczyliśmy we Mszy św., odmawialiśmy różaniec w domu, byliśmy bardzo zżyci. Nawet dzisiaj, mimo że nasi rodzice są już w niebie, zachowujemy tę samą jedność między braćmi i siostrami.

Głęboko naznaczyło mnie również inne doświadczenie rodzinne, choć zdałem sobie z tego sprawę dopiero z czasem. Mój brat, drugi w rodzinie, zmarł w wieku 25 lat z powodu niewydolności nerek. Dzisiaj, dzięki postępom medycyny, nadal by żył dzięki dializom i przeszczepom, ale wtedy nie było takich możliwości. Byłem przy nim przez ostatnie trzy lata jego życia: dzieliliśmy ten sam pokój i często pomagałem mu w nocy. Był spokojnym, wesołym młodym człowiekiem, który swoją kruchość przeżywał z niezwykłą radością.

Miałem 16 lat, kiedy zmarł. Minęło pięćdziesiąt lat, ale kiedy wspominam tamten czas i codzienne doświadczenie bliskości, składające się z drobnych gestów, zdaję sobie sprawę, jak bardzo wpłynęło to na moje życie.

Urodziłem się w rodzinie, w której panowała wiara, poczucie obowiązku i wspólna odpowiedzialność. Moi rodzice są dla mnie niezwykłym przykładem: z wielką wiarą i spokojem znosili krzyż, nigdy nie obciążając nikogo, a jednocześnie potrafili przekazać radość życia rodzinnego. Mogę powiedzieć, że miałem bardzo piękne dzieciństwo. Nie byliśmy bogaci ani biedni, ale zawsze skromni i dyskretni. Nauczono nas pracować, dobrze gospodarować zasobami, nie marnować, żyć z godnością, elegancją, a przede wszystkim z troską o biednych i chorych.

Jak zareagowała Księdza rodzina, kiedy podjął Ksiądz decyzję o poświęceniu się życiu zakonnemu?

Nadszedł moment, w którym wraz z moim kierownikiem duchowym ustaliliśmy, że moja droga prowadzi do salezjanów. Musiałem również poinformować o tym moich rodziców. Pamiętam, że był to spokojny wieczór, jedliśmy razem, tylko we trójkę. W pewnym momencie powiedziałem: „Chcę wam coś powiedzieć: rozeznałem i postanowiłem wstąpić do salezjanów”.

Mój ojciec był bardzo szczęśliwy. Odpowiedział natychmiast: „Niech Pan ci błogosławi”. Moja mama natomiast zaczęła płakać, tak jak to robią wszystkie mamy. Zapytała mnie: „Więc odchodzisz?”. Ale mój ojciec interweniował łagodnie i stanowczo: „Niezależnie od tego, czy odejdzie, czy nie, to jest jego droga”.

Pobłogosławili mnie i dodali otuchy. To chwile, które pozostają w pamięci na zawsze.

Szczególnie pamiętam to, co wydarzyło się pod koniec życia moich rodziców. Mój ojciec zmarł w 1997 roku, a sześć miesięcy później u mojej matki wykryto nieuleczalnego raka.

W tym czasie przełożeni poprosili mnie, abym został wykładowcą na Papieskim Uniwersytecie Salezjańskim (UPS), ale nie wiedziałem, jaką decyzję podjąć. Moja mama nie czuła się dobrze, była już bliska śmierci. Rozmawiając z moimi braćmi, powiedzieli mi: „Rób to, o co proszą cię przełożeni”.

Byłem w domu i porozmawiałem z nią: „Mamo, przełożeni proszą mnie, abym wyjechał do Rzymu”.

Ona, z jasnością umysłu prawdziwej matki, odpowiedziała: „Posłuchaj, synu, gdyby to zależało ode mnie, poprosiłabym cię, żebyś został tutaj, ponieważ nie mam nikogo innego i nie chciałabym być ciężarem dla twoich braci. Ale…” – i tu wypowiedziała zdanie, które noszę w sercu – „Nie należysz do mnie, należysz do Boga. Rób to, co mówią ci przełożeni”.

To zdanie, wypowiedziane rok przed jej śmiercią, jest dla mnie skarbem, cennym dziedzictwem. Moja mama była inteligentną, mądrą i przenikliwą kobietą: wiedziała, że choroba doprowadzi ją do końca, ale w tym momencie potrafiła być wewnętrznie wolna. Wolna, by wypowiedzieć słowa, które po raz kolejny potwierdziły dar, jaki

sama ofiarowała Bogu: oddanie syna życiu konsekrowanemu.

Reakcja mojej rodziny, od początku do końca, zawsze była naznaczona głębokim szacunkiem i ogromnym wsparciem. Nawet dzisiaj moi bracia i siostry nadal podtrzymują tego ducha.

Jaka była Księdza droga formacyjna od nowicjatu do dzisiaj?

Była to bardzo bogata i różnorodna droga. Rozpoczęłam prenowicjat na Malcie, a następnie nowicjat w Dublinie w Irlandii. To było naprawdę piękne doświadczenie.

Po nowicjacie moi towarzysze przenieśli się do Maynooth, aby studiować filozofię na uniwersytecie, ale ja już wcześniej ukończyłem studia. Dlatego przełożeni poprosili mnie, abym pozostał w nowicjacie przez kolejny rok, gdzie uczyłem języka włoskiego i łaciny. Następnie wróciłem na Maltę, aby odbyć dwuletnią asystencję, która była piękna i ubogacająca.

Następnie wysłano mnie do Rzymu, aby studiować teologię na Papieskim Uniwersytecie Salezjańskim, gdzie spędziłem trzy niezwykłe lata. Te lata bardzo otworzyły mi umysł. Mieszkaliśmy w akademiku z czterdziestoma braćmi z dwudziestu różnych krajów: Azji, Europy, Ameryki Łacińskiej… Nawet kadra nauczycielska była międzynarodowa. Była to połowa lat 80., około dwadzieścia lat po Soborze Watykańskim II, i nadal panowała atmosfera wielkiego entuzjazmu: toczyły się ożywione dyskusje teologiczne, pojawiła się teologia wyzwolenia, zainteresowanie metodą i praktyką. Studia te nauczyły mnie postrzegać wiarę nie tylko jako treść intelektualną, ale jako wybór życia.

Po tych trzech latach kontynuowałem studia specjalizacyjne z teologii moralnej w Akademii Alfonsiańskiej u ojców redemptorystów. Tam również spotkałem znaczące postaci, takie jak słynny Bernhard Häring, z którym nawiązałem osobistą przyjaźń i regularnie co miesiąc chodziłem do niego na rozmowy. W sumie było to pięć lat – między licencjatem a dyplomem – które głęboko ukształtowały mnie pod względem teologicznym.

Następnie zgłosiłem się na misje, a przełożeni wysłali mnie wraz z innym salezjaninem do Tunezji, aby przywrócić obecność salezjanów w tym kraju. Przejęliśmy szkołę prowadzoną przez zgromadzenie sióstr, które z powodu braku

powołań miało zostać zamknięte. Była to szkoła z 700 uczniami, więc musieliśmy nauczyć się francuskiego, a także arabskiego. Aby się przygotować, spędziliśmy kilka miesięcy w Lyonie we Francji, a następnie poświęciliśmy się nauce arabskiego.

Zostałem tam trzy lata. Było to kolejne wielkie doświadczenie, ponieważ znaleźliśmy się w sytuacji, w której nie można było otwarcie mówić o Jezusie, a jednocześnie żyliśmy wiarą i charyzmatem salezjańskim. Można było jednak budować ścieżki edukacyjne oparte na wartościach ludzkich: szacunku, gotowości do pomocy, prawdzie. Nasze świadectwo było ciche, ale wymowne. W tym środowisku poznałem i pokochałem świat muzułmański. Wszyscy – uczniowie, nauczyciele i rodziny – byli muzułmanami i przyjęli nas bardzo serdecznie. Sprawili, że poczuliśmy się częścią ich rodziny. Wielokrotnie wracałem do Tunezji i zawsze spotykałem się z takim samym szacunkiem i uznaniem, niezależnie od naszej przynależności religijnej.

Po tym doświadczeniu wróciłem na Maltę i przez pięć lat pracowałem na polu pomocy społecznej. W szczególności w domu salezjańskim, który przyjmuje młodzież potrzebującą bardziej uważnej opieki wychowawczej, również w formie pobytu stacjonarnego.

Po ośmiu latach pracy duszpasterskiej (w Tunezji i na Malcie) zaproponowano mi możliwość ukończenia doktoratu. Zdecydowałem się wrócić do Irlandii, ponieważ temat był związany z sumieniem według myśli kardynała Johna Henry’ego Newmana, dziś świętego. Po ukończeniu doktoratu ówczesny przełożony generalny, ks. Juan Edmundo Vecchi – niech spoczywa w pokoju – poprosił mnie, abym został wykładowcą teologii moralnej na Papieskim Uniwersytecie Salezjańskim.

Patrząc na całą moją drogę, od aspiranta do doktoratu, mogę powiedzieć, że było to połączenie nie tylko treści, ale także bardzo różnych kontekstów kulturowych. Dziękuję Panu i Zgromadzeniu, ponieważ dali mi możliwość przeżycia tak różnorodnej i bogatej formacji.

Zna więc Ksiądz język maltański, ponieważ jest to język ojczysty, angielski, ponieważ jest to drugi język na Malcie, łacinę, ponieważ nauczył się jej, włoski, ponieważ studiował we Włoszech, francuski i arabski, ponieważ przebywał w Manouba w Tunezji… Ile języków Ksiądz zna?

Pięć, sześć języków, mniej więcej. Jednak kiedy pytają mnie o języki, zawsze

odpowiadam, że to raczej zbieg okoliczności historycznych.

Na Malcie dorastamy już z dwoma językami: maltańskim i angielskim, a w szkole uczymy się trzeciego języka. W moich czasach nauczano również języka włoskiego. Ponieważ miałem naturalne zdolności językowe, wybrałem również łacinę. Później, kiedy wyjechałem do Tunezji, musiałem nauczyć się francuskiego, a także arabskiego.

W Rzymie, mieszkając z wieloma studentami języka hiszpańskiego, ucho przyzwyczaiło się do tego języka, a kiedy zostałem wybrany Radcą ds. Duszpasterstwa Młodzieży, pogłębiłem nieco swoją znajomość hiszpańskiego, który jest bardzo pięknym językiem.

Wszystkie języki są piękne. Oczywiście, nauka wymaga zaangażowania, studiowania i ćwiczeń. Niektórzy mają do tego większy talent, inni mniej: to kwestia osobistych predyspozycji. Nie jest to jednak ani zasługa, ani wina. To po prostu dar, naturalna predyspozycja.

W latach 2008-2020 pełnił Ksiądz przez dwie kadencje funkcję Radcy Generalnego ds. Duszpasterstwa Młodzieży. Jak pomogło Księdzu to doświadczenie?

Kiedy Bóg powierza nam misję, zabieramy ze sobą cały bagaż doświadczeń, które zgromadziliśmy przez lata.

Żyjąc w różnych kontekstach kulturowych, nie narażałem się na ryzyko postrzegania wszystkiego przez pryzmat jednej kultury. Jestem Europejczykiem, pochodzę z regionu Morza Śródziemnego, z kraju, który był kolonią angielską, ale miałem szczęście żyć w międzynarodowych, wielokulturowych społecznościach.

Bardzo pomogły mi również lata studiów w UPS. Mieliśmy profesorów, którzy nie ograniczali się do przekazywania treści, ale uczyli nas syntezy, budowania metody. Na przykład, studiując historię Kościoła, rozumieliśmy, jak istotna jest dla zrozumienia patrystyka. Zajmując się teologią biblijną, uczyliśmy się łączyć ją z teologią sakramentalną, moralnością, historią duchowości. Krótko mówiąc, nauczono nas myśleć w sposób organiczny.

Ta umiejętność syntezy, ta architektura myślenia staje się następnie częścią twojej osobistej formacji. Kiedy studiujesz teologię, uczysz się rozpoznawać punkty odniesienia i łączyć je ze sobą. To samo dotyczy propozycji duszpasterskich, pedagogicznych czy filozoficznych. Kiedy spotykasz ludzi o wielkiej głębi, przyswajasz nie tylko to, co mówią, ale także to, jak to mówią, a to kształtuje twój styl.

Kolejnym ważnym elementem jest to, że w momencie wyboru miałem już doświadczenie w środowiskach misyjnych, gdzie religia katolicka była praktycznie nieobecna, i pracowałem z osobami marginalizowanymi i wrażliwymi. Zdobyłem również pewne doświadczenie w środowisku akademickim, a jednocześnie bardzo poświęciłem się towarzyszeniu duchowemu.

Ponadto w latach 2005-2008 – tuż po doświadczeniu w UPS – archidiecezja maltańska poprosiła mnie o założenie Instytutu Formacji Duszpasterskiej, w następstwie synodu diecezjalnego, który uznał taką potrzebę. Arcybiskup powierzył mi zadanie rozpoczęcia działalności od zera. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, było stworzenie zespołu złożonego z księży, zakonników, świeckich – mężczyzn i kobiet. Stworzyliśmy nową metodę formacji, która jest stosowana do dziś. Instytut nadal działa bardzo dobrze, a to doświadczenie było w pewnym sensie cennym przygotowaniem do pracy, którą później wykonywałem w duszpasterstwie młodzieży.

Od samego początku wierzyłem w pracę zespołową i współpracę z osobami świeckimi. Moje pierwsze doświadczenie jako dyrektora było właśnie w tym stylu: stały zespół wychowawczy, dziś nazwalibyśmy to CEP (Comunità Educativo-Pastorale – Wspólnota Wychowawczo-Duszpasterska), spotykający się regularnie, a nie okazjonalnie. Co tydzień spotykaliśmy się z wychowawcami i specjalistami. To podejście, które z czasem stało się metodą, pozostało dla mnie punktem odniesienia.

Do tego dochodzi jeszcze doświadczenie akademickie: sześć lat jako wykładowca na Papieskim Uniwersytecie Salezjańskim, gdzie przybywali studenci z ponad stu krajów, a następnie jako egzaminator i promotor prac doktorskich w Akademii Alfonsiańskiej.

Wierzę, że wszystko to przygotowało mnie do podjęcia tej odpowiedzialności z jasnością umysłu i wizją.

Tak więc, kiedy Zgromadzenie podczas Kapituły Generalnej w 2008 roku poprosiło mnie o objęcie tego stanowiska, miałem już szerokie, wielokulturowe spojrzenie. Pomogło mi to, ponieważ łączenie różnorodności nie było dla mnie trudne: było to dla mnie czymś normalnym. Oczywiście nie chodziło po prostu o stworzenie „sałatki” z różnych doświadczeń: trzeba było znaleźć wspólne wątki, nadać spójność i jedność.

To, czego doświadczyłem jako Radca Generalny, nie było moją zasługą. Uważam, że każdy salezjanin, gdyby miał takie same możliwości i wsparcie Zgromadzenia, mógłby przeżyć podobne doświadczenia i hojnie wnieść swój wkład.

Czy jest jakaś modlitwa, jakieś słówko, których nigdy nie może zabraknąć?

Nabożeństwo do Maryi. W domu wychowaliśmy się na codziennym odmawianiu różańca w rodzinie. Nie był to obowiązek, ale coś naturalnego: robiliśmy to przed posiłkami, ponieważ zawsze jedliśmy razem. Wtedy było to możliwe. Dzisiaj może mniej, ale wtedy tak się żyło: rodzina zebrana razem, wspólna modlitwa, wspólny posiłek.

Na początku może nie zdawałem sobie sprawy, jak głęboka była ta pobożność maryjna. Ale z upływem lat, kiedy zaczyna się odróżniać to, co istotne, od tego, co drugorzędne, zrozumiałem, jak bardzo ta matczyna obecność towarzyszyła mi w życiu.

Cześć dla Maryi wyraża się na różne sposoby: codzienny różaniec, kiedy to możliwe; chwila zatrzymania się przed obrazem lub figurą Matki Bożej; prosta modlitwa, ale płynąca z serca. Są to gesty, które towarzyszą drodze wiary.

Oczywiście są pewne stałe punkty: codzienna Eucharystia i codzienna medytacja. Są to filary, które nie podlegają dyskusji, po prostu się je przeżywa. Nie tylko dlatego, że jesteśmy konsekrowani, ale dlatego, że jesteśmy wierzący. A wiarę można żyć tylko ją pielęgnując.

Kiedy ją pielęgnujemy, wzrasta w nas. I tylko wtedy, gdy wzrasta w nas, możemy pomóc, aby wzrastała również w innych. Dla nas, wychowawców, jest to oczywiste: jeśli nasza wiara nie przekłada się na konkretne życie, wszystko inne staje się fasadą.

Te praktyki – modlitwa, medytacja, oddanie – nie są zarezerwowane dla świętych. Są wyrazem uczciwości. Jeśli dokonałem wyboru wiary, mam również obowiązek ją pielęgnować. W przeciwnym razie wszystko sprowadza się do czegoś zewnętrznego, pozornego. A to z czasem nie wytrzymuje próby czasu.

Gdyby mógł Ksiądz cofnąć czas, dokonałby tych samych wyborów?

Absolutnie tak. W moim życiu były bardzo trudne chwile, jak u każdego. Nie chcę uchodzić za „ofiarę losu”. Uważam, że każdy człowiek, aby dorosnąć, musi przejść przez fazy ciemności, chwile rozpaczy, samotności, poczucia zdrady lub niesprawiedliwego oskarżenia. Ja przeżyłem takie chwile. Ale miałem łaskę mieć u boku kierownika duchowego.

Kiedy przechodzi się przez takie trudności w towarzystwie kogoś bliskiego, można wyczuć, że wszystko, na co pozwala Bóg, ma sens, ma cel. A kiedy wychodzi się z tego „tunelu”, odkrywa się, że jest się innym, bardziej dojrzałym człowiekiem. To tak, jakbyśmy dzięki tej próbie zostali przemienieni.

Gdybym pozostał sam, ryzykowałbym podjęcie złych decyzji, bez wizji, zaślepiony trudnością chwili. Kiedy jest się zły, kiedy czuje się samotność, nie jest to czas na podejmowanie decyzji. Jest to czas, aby iść naprzód, prosić o pomoc, pozwolić się towarzyszyć.

Przechodzenie przez pewne etapy z pomocą kogoś innego jest jak ciasto włożone do piekarnika: ogień je piecze, sprawia, że dojrzewa.

Dlatego na pytanie, czy zmieniłbym coś, odpowiadam: nie. Ponieważ nawet najtrudniejsze chwile, nawet te, których nie rozumiałem, pomogły mi stać się osobą, którą jestem dzisiaj.

Czy czuję się osobą doskonałą? Nie. Ale czuję, że jestem na drodze, każdego dnia, starając się żyć przed obliczem miłosierdzia i dobroci Boga.

A dzisiaj, udzielając tego wywiadu, mogę szczerze powiedzieć, że czuję się szczęśliwy. Być może nie do końca rozumiem jeszcze, co oznacza bycie Przełożonym Generalnym – to wymaga czasu – ale wiem, że jest to misja, a nie spacer. Wiąże się to z trudnościami. Czuję jednak, że jestem kochany i szanowany

przez moich współpracowników i całe Zgromadzenie.

Wszystko, czym jestem dzisiaj, zawdzięczam temu, czego doświadczyłem, nawet w najtrudniejszych momentach. Nie zmieniłbym ich. Ukształtowały mnie one.

Czy ma Ksiądz jakiś projekt, który jest Księdzu szczególnie bliski?

Tak. Kiedy zamykam oczy i wyobrażam sobie coś, czego naprawdę pragnę, chciałbym zobaczyć bardziej święte Zgromadzenie. Bardziej święte. Bardziej święte.

Głęboko zainspirował mnie pierwszy list księdza Pascuala Cháveza z 2002 roku, zatytułowany „Bądźcie świętymi”. Ten list poruszył mnie do głębi, pozostawił ślad.

Projektów jest wiele, wszystkie są wartościowe, dobrze skonstruowane, mają szerokie i głębokie wizje. Ale jaką mają wartość, jeśli są realizowane przez ludzi, którzy nie są święci? Możemy wykonywać doskonałą pracę, możemy być doceniani – co samo w sobie nie jest złe – ale nie pracujemy dla sukcesu. Naszym punktem wyjścia jest tożsamość: jesteśmy osobami konsekrowanymi.

To, co proponujemy, ma sens tylko wtedy, gdy wynika z tego punktu wyjścia. Oczywiście pragniemy, aby nasze projekty odniosły sukces, ale jeszcze bardziej pragniemy, aby przynosiły łaskę, aby poruszały ludzi w głębi serca. Nie wystarczy być wydajnym. Musimy być skuteczni w najgłębszym tego słowa znaczeniu: skuteczni w świadectwie, w tożsamości, w wierze.

Wydajność może istnieć również bez odniesienia do religii. Możemy być doskonałymi profesjonalistami, ale to nie wystarczy. Nasze poświęcenie nie jest szczegółem: jest fundamentem. Jeśli staje się marginalne, jeśli odkładamy je na bok, aby zrobić miejsce dla wydajności, tracimy naszą tożsamość.

A ludzie nas obserwują. W szkołach salezjańskich uznaje się, że wyniki są dobre – i to dobrze. Ale czy uznają nas również za ludzi Boga? Oto jest pytanie.

Jeśli postrzegają nas tylko jako dobrych profesjonalistów, to jesteśmy tylko wydajni. Ale nasze życie musi karmić się Nim – Drogą, Prawdą i Życiem – a nie tym, co „myślę”, „chcę” lub „wydaje mi się”.

Dlatego zamiast mówić o moim osobistym projekcie, wolę mówić o głębokim pragnieniu: zostać świętym. I mówić o tym konkretnie, nie idealizując.

Kiedy Ksiądz Bosko mówił swoim chłopcom o *nauce, zdrowiu i świętości*, nie miał na myśli świętości polegającej wyłącznie na modlitwie w kaplicy. Myślał o świętości przeżywanej w relacji z Bogiem i karmiącej się relacją z Bogiem. Świętość chrześcijańska jest odbiciem tej żywej, codziennej relacji.

Jakiej rady udzieliłby Ksiądz młodemu człowiekowi, który zastanawia się nad powołaniem?

Powiedziałbym mu, żeby krok po kroku odkrywał, jaki jest plan Boga wobec niego.

Droga powołaniowa nie jest pytaniem, które zadajemy, czekając na gotową odpowiedź ze strony Kościoła. Jest to pielgrzymka. Kiedy ktoś mówi mi: *„Nie wiem, czy zostać salezjaninem”*, staram się odciągnąć go od takiego sformułowania. Nie chodzi bowiem po prostu o podjęcie decyzji: *„Zostanę salezjaninem”*. Powołanie nie jest opcją w odniesieniu do „czegoś”.

Również w moim własnym doświadczeniu, kiedy powiedziałem mojemu kierownikowi duchowemu: *„Chcę zostać salezjaninem, muszę nim być”*, on bardzo spokojnie skłonił mnie do refleksji: *„Czy to naprawdę wola Boża? A może to tylko twoje pragnienie?”*

I to jest słuszne, że młody człowiek szuka tego, czego pragnie, to jest zdrowe. Ale ten, kto towarzyszy, ma za zadanie wychowywać to poszukiwanie, przekształcać je z początkowego entuzjazmu w drogę dojrzewania wewnętrznego.

„Chcesz czynić dobro? Dobrze. Poznaj więc siebie, uznaj, że jesteś kochany przez Boga”.

Tylko z tej głębokiej relacji z Bogiem może wyłonić się prawdziwe pytanie: „Jaki jest plan Boga wobec mnie?”.

Bo to, czego pragnę dzisiaj, jutro może mi już nie wystarczyć. Jeśli powołanie sprowadza się do tego, co „mi się podoba”, będzie czymś kruchym. Powołanie jest natomiast wewnętrznym głosem, który wzywa, prosi o dialog z Bogiem i o

odpowiedź.

Kiedy młody człowiek dociera do tego punktu, kiedy towarzyszy mu ktoś, kto pomaga mu odkryć tę wewnętrzną przestrzeń, w której mieszka Bóg, wtedy naprawdę zaczyna iść.

Dlatego osoba towarzysząca musi być bardzo uważna, głęboka, cierpliwa. Nigdy powierzchowna.

Ewangelia o uczniach z Emaus jest doskonałym obrazem: Jezus podchodzi do dwóch uczniów, słucha ich, choć wie, że mówią chaotycznie. Potem, po wysłuchaniu ich, zaczyna mówić. A oni w końcu zapraszają Go: „Zostań z nami, bo robi się ciemno”.

I rozpoznają Go w geście łamania chleba. Potem mówią do siebie: „Czyż nasze serca nie pałały w nas, kiedy rozmawiał z nami w drodze?”.

Dzisiaj wielu młodych ludzi poszukuje. Naszym zadaniem jako wychowawców jest nie spieszyć się. Ale pomagać im, spokojnie i stopniowo, odkrywać wielkość, która już jest w ich sercach. Ponieważ tam, w tej głębi, spotykają Chrystusa. Jak mówi św. Augustyn: „Ty byłeś we mnie, a ja na zewnątrz. I tam Cię szukałem”.

Czy ma Ksiądz jakieś przesłanie dla Rodziny Salezjańskiej?

To samo przesłanie, które przekazałem w ostatnich dniach podczas spotkania Konsulty Rodziny Salezjańskiej: ***Wiara. Coraz głębsze zakorzenienie w osobie Chrystusa.***

Z tego zakorzenienia rodzi się autentyczna wiedza o Księdzu Bosko. Pierwsi salezjanie, kiedy chcieli napisać książkę o prawdziwym Księdzu Bosko, nie zatytułowali jej „Ksiądz Bosko apostoł młodzieży”, ale „Ksiądz Bosko z Bogiem” – tekst napisany przez Księdza Eugeniusza Cerię w 1929 roku.

To daje nam do myślenia. Dlaczego oni, którzy widzieli go codziennie w akcji, nie postanowili podkreślić niestrudzonego Księdza Bosko, organizatora, wychowawcy? Nie, chcieli opowiedzieć o Księdzu Bosko głęboko zjednoczonym z Bogiem.

Ci, którzy dobrze go znali, nie zatrzymali się na pozorach, ale dotarli do sedna: Ksiądz Bosko był człowiekiem zanurzonym w Bogu.

Do Rodziny Salezjańskiej mówię: otrzymaliśmy skarb. Ogromny dar. Ale każdy dar wiąże się z odpowiedzialnością.

W moim przemówieniu końcowym powiedziałem: ***„Nie wystarczy kochać Księdza Bosko, trzeba go poznać”.***

A naprawdę możemy go poznać tylko wtedy, gdy jesteśmy ludźmi wiary.

Musimy patrzeć na niego oczami wiary. Tylko w ten sposób możemy spotkać wierzącego, jakim był Ksiądz Bosko, w którym działał z mocą Duch Święty: z *dýnamis*, z *cháris*, z charyzmą, z łaską.

Nie możemy ograniczać się do powtarzania niektórych jego maksym lub opowiadania o jego cudach. Ponieważ ryzykujemy, że zatrzymamy się na anegdotach o Księdzu Bosko, zamiast zatrzymać się na historii Księdza Bosko, ponieważ Ksiądz Bosko jest większy niż Ksiądz Bosko.

Oznacza to studiowanie, refleksję, głębię. Oznacza unikanie wszelkiej powierzchowności.

Wtedy będziemy mogli z prawdziwą pewnością powiedzieć: **„To jest moja wiara, to jest mój charyzmat: zakorzenienie w Chrystusie, podążanie śladami Księdza Bosko”.**